

Wojciech Stanisławski: Dwa księżyce, dwie Chorwacje

Korzeń zła tkwi najgłębiej jako można, w samym podziale na silnych i słabych – których Lamian, sam przecież z rodu słabych, nienawidzi na równi ze swoimi oprawcami.

Nie tak wiele jest we ukazującej się współcześnie prozie nowych prób przybliżenia grozy Zagłady: klasyków (Levi, Wiesel, Frank, Posmysz et al.) wydano, potem zaś udane próby zawłaszczenia dręczącego tematu podjęli producenci tekstów, określanych z wisielczym (komorowym?) humorem jako „holo-polo”: ale też wytwory branży wydawniczej, których tytuły litościwie tu pominiemy, będące mieszaniną grozy z erotyką albo sentymentalizmem, na żadne inne określenie nie zasługują. „Kapo” Aleksandra Tišmy, zmarłego przed prawie ćwierć wiekiem serbskiego pisarza o żydowskich i węgierskich korzeniach uderza znienacka i ogłusza.

**Przeczytaj również: Wojciech Stanisławski o „Do perfekcji”
Vincenzo Latronico**

To powieść rozpisana na kilku planach fabularnych, które musimy tu pokrótce ujawnić, by rekomendacja nie była zbyt enigmatyczna. Bohater książki, Vilko Lamian alias Antun Furfa (Frfa) jest, w chwili, gdy w latach 70. rozpoczyna się akcja powieści, panem nikt: zaniebanym, otyłym, starzejącym się urzędnikiem katastralnym w Banja Luce, jednym z wielu prowincjonalnych miast Jugosławii. Je

niezdrowo i niechlujnie, po pracy wraca do sublokatorskiego pokoju, szary kuzyn z wielkiej rodziny zastraszonych starych kawalerów z liczydłem, któremu nie dany jest los żadnego z męczenników w zarękwkach, Józefa K., Trelkovsky'ego ani bodaj Felicjana Dulskiego. W rzeczywistości męki bohaterów Topora, Polańskiego i Kafki nie umywają się do jego doświadczeń.

Lamian urodził się w latach 20. w chorwackim Bjelovarze w zasymilowanej rodzinie żydowskiej. Łukasz Najder, pisząc o „Kapo” na łamach „Dwutygodnika” używa brutalnej frazy „wychrzczony Żyd”, która nie pada w samej powieści, ale wiernie oddaje status jedynaka rozpieszczanego w rodzinie zasobnej i do czasu wolnej od lęku: przedwojenne Królestwo Jugosławii było stosunkowo wolne od antysemityzmu, na największą skalę (choć też niespiesznie) dochodził on do głosu na historycznych ziemiach Chorwacji. Młodość Lamiana to paleta doświadczeń asymilatorskich, lękowych i „marrańskich”: miota się, lecz ani uprawianie sportów („Żydzi nie uprawiają sportów”), ani wybór studiów inżynierskich („Żydzi wybierają praktyczne zawody”), ani bezkrwiste próby romansowania z nieatrakcyjną, lecz niewątpliwie aryjską koleżanką ze studiów, ani przyjmowanie żydożerczych broszur od kolegi z wydziału nie uwalniają go od lęku przed zdemaskowaniem i od poczucia obcości. Każdy znajdzie tego diabła, którego się boi: po krótkiej, przegranej wojnie wiosną 1941 roku i utworzeniu „Niepodległego Państwa Chorwackiego” Pavelicia wystarczy kilka miesięcy, by Vilko został wykryty, poniżony i deportowany na dno piekła, do obozu zagłady Jasenovac, w którym, jak wiadomo, mordowano niemal wyłącznie przy użyciu noży i kamieni, a to ze względu na oszczędność amunicji. Przybrawszy tożsamość zabitego chorwackiego komunisty, Antuna Furfy, za sprawą przekupstwa trafi z

Jasenovca do Auschwitz. Tam z kolei, dzięki dobrej kondycji fizycznej (przydały się przedwojenne sporty!) awansuje z czasem do rangi wychudzonego, pryszczatego kapo.

Powiedzmy od razu: nie ma niemal podłości, której Vilko/Antun by się nie dopuścił. Sortuje i kradnie rzeczy po zagazowanych, zagania do komór kobiety i dzieci, morduje w okrutny sposób skazanych kaprysem nadzorcy współwięźniów. W Jasenovcu być może miał szansę na odnalezienie rodziców przed ich śmiercią: nie skorzystał z niej, oszczędzając obozową walutę (czyli zdjęte wcześniej z trupa buty). W Auschwitz, posadowiony na najniższym szczeblu drabiny przywilejów, wykorzystuje je w jeden sposób, sprowadzając młode więźniarki, które zmusza do współżycia, kusząc posiłkiem i strasząc śmiercią.

Zdołał przeżyć – po wojnie zaś wraca do dawnego imienia i zaszywa się w dziurze, jaką jest Banja Luka, kryjąc się pod sadłem, milczeniem i ciemnymi okularami. Z dusznego pokoju wywabi go strzęp gazety, gdzie widnieć będzie nazwisko jednej z jego oświęcimskich ofiar, również ocalałej Heleny Lifki, którą jesienią 1944 wykorzystał i odsunął od siebie, bojąc się, że jakakolwiek bliskość z Żydówką może go zdradzić.

Powieść wrzuca nas w środek strachu, w środek zdania („Znalazł Helenę Lifkę!”), po czym uruchamia kołowrót czasów: na jednym, współczesnym planie Lamian, niedołączający, trawiony przez nowotwór (co tak łatwo odsyła nas do „Homo Fabera”!) niekonsekwentnie, ale uparcie usiłuje odnaleźć Helenę, miotając się między Suboticą a Zagrzebiem. Na drugim planie pogrąża się w psychozie, na przemian doświadczając napadów paniki, paranoi, deluzji

i otępienia; na trzecim odtwarzane jest jego dzieciństwo, młodość i, najbardziej drobiazgowo, doświadczenia wojenne. Nie jest łatwo utrzymać się na nogach na tej chronologicznej karuzeli, przypomina się Billy Pilgrim z niemal równie okrutnej vonnegutowskiej „Rzeźni numer pięć”.

Przeczytaj również: Felietony Wojciecha Stanisławskiego

Tišma opisuje praktyki i procedury obozowe chłodno i bardzo plastycznie, nie pozostawia miejsca na domysły ani przemilczenia; wartość świadectwa, czy raczej – mówiąc równie chłodno, co pisarz – *wizualizacji* jest bezsporna. Jego sprawność pisarską można rozpoznać w wątkach, które – na ile pamiętam ze „Śladu czarnowłosej dziewczyny” (wyd. polskie 1977) i kilku nie przełożonych na polski zbiorów opowiadań – zawsze były jego specjalnością: opisach wypranych z uroku prowincjonalnych, zbiedniałych miast, brzydoty gorszych dzielnic, pustki i niegościnnosci hotelowych wnętrz. Ale ani w panowaniu nad słowem i fabułą, ani w epickim odtworzeniu klimatów przedwojennej i wojennej Chorwacji, ani nawet w próbie wyważenia doświadczonych i wyrządzonych przez Lamana krzywd nie upatruję największej mocy tej powieści.

Rozważania o źródłach dwudziestowiecznego antysemityzmu, również – o przyczynach Zagłady i przyjmowanych podczas niej postawach – złożyły się na olbrzymią bibliotekę. Nie brakuje w niej przecież ani naukowych, ani literackich opisów dynamiki przedwojennego narastania niechęci do „obcych” (doskonale przedstawionej poprzez postać ustaśowskiego aktywisty Zvonko Gabelicia), ani palety strategii asymilatorskich, ani nawet przeraźliwie dwuznacznych losów „żydowskich kolaborantów”, do których z rozkoszą odwołują się współcześni antysemici, tłumacząc nam, że Zagłada to kolejny

żydowski spisek.

A jednak Aleksandar Tišma zdołał na tej żwirowej drodze posunąć się jeszcze o krok dalej. Lamian nie tylko nienawidzi (choć i płacząco usprawiedliwia) siebie, swoich oprawców z Auschwitz i swoich potencjalnych współczesnych prześladowców: to wszystko mieściłoby się w paralogice kata/ofiary, byłoby w pewien sposób zrozumiałe. W interpretacji Tišmy jednak postawy, które prowadzą ku Zagładzie, nie wywodzą się ani z „zależności socjoekonomicznych”, ani z historii Europy Środkowej, ani z mitów „czystości rasy”, ani z przerzutów ideologii protonazistowskich. Korzeń zła tkwi jeszcze głębiej, w samym podziale na silnych i słabych – których Lamian, sam przecież z rodu słabych, nienawidzi na równi ze swoimi oprawcami. Żyd w jego wyobraźni (podobnie jak w wyobraźni ustaśów) jest przede wszystkim nie tyle „obcym”, co „słabym”: jest obcym, ponieważ jest słaby, mówią silni.

To najbardziej pierwotna z możliwych antropologia przemocy, która nie daje nadziei na dobre zakończenie dziejów ludzkości. I najmocniejsze literacko u Tišmy nie są opisy wapiennych dołów, paranoi ani wulgarnego, knajackiego przepychu „nocnego baru” w zagrzebskim hotelu – lecz odrazy, z jaką Lamian opisuje własne i cudze (wyobrażone) słabe ciała. Nie ma w tych aktach nawet tego wigoru, tego *élan*, który potrafi pojawić się na chwilę w pornografii: jest tylko szary, bezkrwisty wstręt.

Przeczytawszy „Kapo” sięgnąłem do stosu nowości, które piętrzą się w moim pokoju za sprawą szczodrości wydawców, i pewnie nie przypadkiem wybrałem „Simurga” Stanko Andricia, tytuł brzmiący nieco zwodniczo: król ptaków z perskiej baśni wspomniany jest w książce tylko raz, autor zaś, Andrić, ale Stanko, nie Ivo, jest (może na świadectwo splątania bałkańskich życiorysów) współczesnym Chorwatem, sama natomiast książka najściślej trzyma się najtrudniej rozpoznawalnej, najłagodniejszej z historycznych chorwackich krain: Sławonii.

„Simurg” to napisana prozą bukolika, zupełnie tak, jakby w powszechnym krążeniu elementów, którego pochwałę wygłasza Andrić („każda cząstka gruntu stawała się już niejedną raz włóknem rośliny, elementem cegły w murze, atomem w ciele człowieka lub zwierzęcia. Ziemia ta przeorana jest przez tysiące zwierzęcych nosów i ludzki oręż”) brały udział również wersy, pisane i czytane w niedalekim Sirmium, mieście aż dziesięciu rzymskich cesarzy, dziś znanym jako Sremska Mitrovica. Ta książka to nie esej (choć cenne są dyskretne, z umiarem podsuwane dygresje o nieznanym nam ojcu literatury chorwackiej epoki wiedeńskiego Oświecenia, o słojach pamięci, o węgierskich i bośniackich pokrewieństwach i pograniczach Sławonii), tym mniej proza fabularna, chociaż przed czytelnikiem mijają lata i zimy, nad pastwiskami przeciągają burze, sędziwi krewni korzystają z obfitości młodego wina, a ci dalsi dopuszczają się występków, czasem i zbrodni. Nie, „Simurg” jest panoramą, hojną i spokojną, cyklów życia na zachodnim krańcu równiny panońskiej. Aż proszą się miłoszowe wersy: „Od lat, od lat, ta sama, niepojęta, / Choćbym za zrozumienie całe życie dał, / Równina pod chmurami niskimi rozpięta. Smugami pyłów i zbożowych fałd”.

Rozumiem, że powyższe zdania niekoniecznie muszą być rekomendacją: trudno o entuzjastów „etnograficznej prozy”, mozolnego jak orka wyliczania prac i dni, w które tak obfitowały solenne prozy słowiańskie i skandynawskie końca XIX wieku! Andrić uniknął jednak zarówno tego zagrożenia, jak jego odwrotności: odebrania pracom i dniom ciężaru, ich zamiany w sielankę, fałszywą i krzykliwie barwną jak polatujące w lesie foliowe opakowanie batonika. Na okładce, zamiast obrazka któregoś z chorwackich malarzy naiwnych, który umieściłby pewnie mniej doświadczony wydawca, znalazło się zdjęcie, zrobione przez samego Andrićia (fragment starego siedliska, z betonowym kręgiem cembrowiny na pierwszym planie), tak doskonale ilustrujące dwa z ważnych zdań książki: „Ile jeszcze zachowało się do dziś tych starych domów o ciepłej, pomarańczowo-żółtej barwie dyni!”, oraz „Pełny łuk romański jest najwierniejszym obrazem niebieskiego sklepienia górującego nad równiną”.

Ta droga pośrodku, między mozołem a cepeliadą, to droga epifanii: powściągliwego, przylegającego do rzeczywistości opisu świata, który wychodząc od inwentarza, staje się pochwałą stworzenia. Nie potrafię do końca określić, gdzie przebiega granica między „realizmem” dawnych szkół a pisaniem, które tu wyróżniam, ale potrafię ją rozpoznać natychmiast. W ten sposób kreśli słowa nie tak wielu autorów z bardzo różnych szkół: wymienilibym wśród nich, chwalonych w różnym czasie w tej rubryce, Piotra Szewca, Gregora von Rezzori, Pawła Sołtysa czy Patricka Fermora. Jeśli zdania „Ogród jest oazą pradawnego porządku świata. Jego pierwotną barwą jest czerwień. (...) Pękata kora drzew promienieje swoją prastarą siłą” wydają się Państwu biec podobnym rytmem, może to znaczyć, że się nie myliłem; że w świecie wirtualności i emulacji głód tego, co naprawdę istnieje, będzie czynił takie słowa naprawdę cennymi.

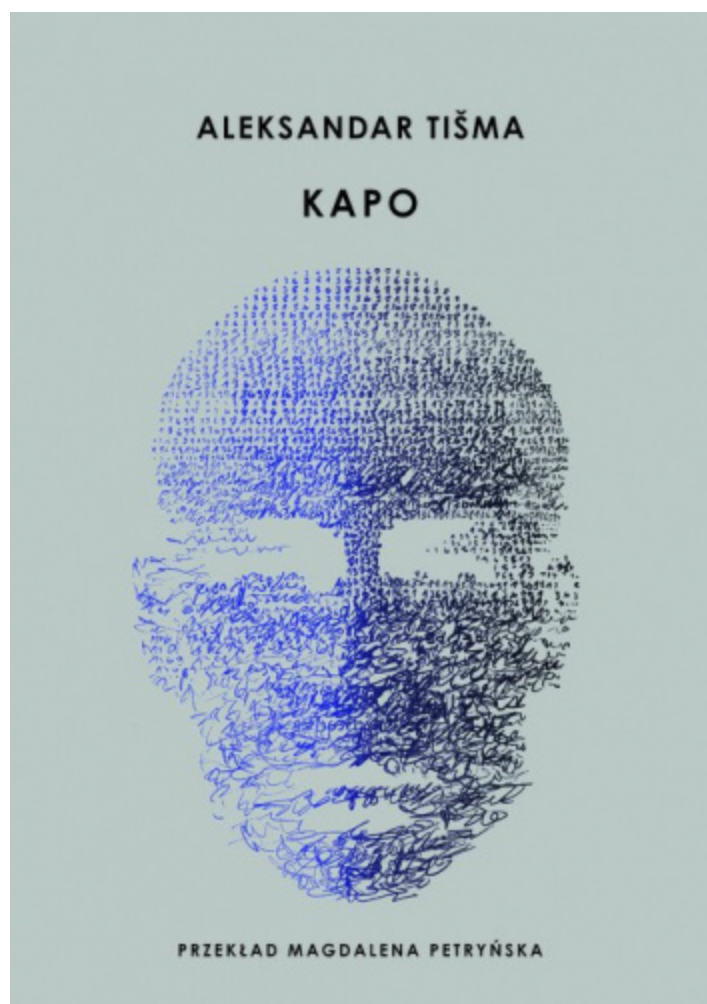
„Simurg” nie jest jednak jedynie opisaniem pozaczasowego Ogrodu. Andrić dygresyjnie i kapryśnie ukazuje nam charakter, obyczaje i formy życia społecznego chłopów Sławonii: niemal współczesnych, bo z drugiej połowy XX wieku (sam autor to rocznik 1967), choć zdumiewająco mocno zanurzonych (za sprawą „lokalności”, ale też mocnej wspólnoty miejscowej parafii, której pobożność opisana jest pięknie i bez lukru) w trochę oleodrukowej i legendarnej, ale wyraźnie odrębnej tożsamości zbiorowej, świadomości istnienia prowincji, kraju i królestwa. „W izbach naszych domów wisały obrazy przedstawiające dawnych królów i możnowładców chorwackich, sceny wyobrażające przełomowe momenty historyczne: wzniosłe koronacje, krwawe bitwy, tragiczne dekapitacje” – czytamy, ja zaś myślę z niejasnym poczuciem winy, że w pracach politologów piszących o relacjach państwo – Kościół w bloku wschodnim, wśród rozdziałów traktujących o – oczywiście! – Polakach, Litwinach czy Słowakach nigdy chyba nie natknąłem się na relację o Šokcach znad Sawy.

Nie rzecz jednak w tym, by czytać „Simurga” w kluczu politologicznym, choć na pewno ciekawy jest obraz realnej autonomii wiejskiej wspólnoty, żyjącej w latach 70. tak bardzo „obok” państwa i dwóch forsowanych przez nie ideologii, jugosławizmu oraz relatywnie miękkiej odmiany komunizmu. Myślę raczej o tym, że epifania Andricia przedstawia sławońską wieś jako uniwersum: harmonijne, prawe (przy wszystkich swoich wiejskich grzeszkach), z mocną pamięcią w planie mitologicznym („dawni królowie chorwaccy” i modlitewniki Kanižlicia), realnym (podupadły dwór rodu Brandaffych, wspomnienia pradziadka z C.-K. frontu pod Gorlicami) i pokątnym (złoczyńca Toma Bartovalin, upadły kumpel Goran z gimnazjum, żółtobrody wuj Fila).

W tym uniwersum Żyd pojawia się wyłącznie na dobrotliwym marginesie, jako Izydor Buko, w dawnych czasach krążący od wsi do wsi w poszukiwaniu kości i szmat. Nic nie łączy ogrodu, który był oazą pradawnego porządku świata z ohydny, rozdygotany i paranoicznym uniwersum-więzieniem Vilko Lamiana, tytułowego kapo – chociaż zarówno miejsce urodzenia Lamiana, czyli Bjelovar, jak miejsce jego współczesnej, bezkrwawej kaźni, czyli Banja Lukę (formalnie położoną w Bośni; w jugosłowiańskich czasach jednak granice między republikami związkowymi nie miały takiego znaczenia) dzieli od Strizivojny (miejsca urodzenia Andricia i pierwowzoru powieściowej wsi) niewiele więcej niż sto kilometrów.

Nie piszę tego z pretensją ani tym bardziej oskarżeniem wobec żadnego z tych dwóch światów, małych kosmosów nieprzystępnych dla innych. Myślę po prostu o niemożliwości spotkania się dwóch opowieści, tej o równinie oraz tej o udręczonym (i dręczącym) marranie – i o tym, jak bardzo podobne to jest do nieprzenikalności wielu par historii dziejących się i spisanych w Polsce. Tyle prób, tyle wyciągniętych rąk, tyle lektur, i nadal nie są w stanie krążyć obok siebie nasze dwa księżyce. Ja zaś, patrząc na orbity „Kapo” i „Simurga”, „Pensjonatu” Piotra Pazińskiego i „Końca” Marty Hermanowicz zaczynam wątpić, czy są one w stanie się spotkać gdzieś indziej niż na moim biurku.

Wojciech Stanisławski



**Aleksandar Tišma, „Kapo”, tłum. Magdalena Petryńska,
Wydawnictwo: ArtRage 2025**

Stanko Andrić

Simurg

Przełożył Maciej Czerwiński





Stanko Andrić, „Simurg”, tłum. Maciej Czerwiński, Wydawnictwo Sedno, 2025

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie.

► **Przeczytaj wcześniejsze**

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

